

Jak Fryderyk okrężne świętował

Pewnego sierpniowego wieczoru, w Szafarni - wśród sosen i dębów Puszczy Sokołowskiej - Fryderyk Chopin kontemplował piękny blask chylącego się ku zachodowi słońca. Muzyka wciąż rozbrzmiewała w jego sercu i duszy, podpowiadając nieznanne wcześniej melodie, które próbował uchwycić, by stały się realne. Właśnie kończył wywar ziołowy skrupulatnie przyrządzony przez pannę Ludwikę, kiedy Dominik Dziewanowski wyrwał go z zamyślenia.

- Co to za śpiewy? – zapytał.

Frycek wytężył słuch. Usłyszał radosną symfonię wielu głosów. Pieśni ludowe przy akompaniamencie wiejskich grajków instrumentalnych, stawały się coraz bardziej wyraziste. Wreszcie oczom Fryderyka i Dominika ukazał się orszak żniwiarzy. Wśród nich zauważyli kilka znajomych twarzy - pannę Agnieszkę Guzowską i pannę Agnieszkę Turowską-Bąkiewną, które były przodownicami. Dostrzegli również panią Jańską i Maćkową. Tę pierwszą kilka godzin wcześniej młody Frycek gonił na polu z źdźbłem zboża w rękę. Kiedy chór dotarł już do wejścia dworku, śpiewacy ustawili się w kolumnę i zaprezentowali kantatę, przedstawiając w niej kolejno mieszkańców Szafarni.

Przede dworem zielony kierz,

Nasz warszawiak chudy kieby pies.

Na stodole stoją jętki,

Nasz warszawiak bardzo prędki.

Fryderyka rozbawiły słowa żniwiarzy wyśpiewane pod jego adresem. Obrzędy ludowe silnie na niego oddziaływały. Zachwyciły go swą prostotą, stanowiły bowiem kwintesencję tradycji oraz źródło muzycznego natchnienia. Usłyszawszy kolejną pieśń, Chopin przypomniał sobie wiejską Catalani, którą podziwiał przejeżdżając przez Nieszawę.

Jedziemy, jedziemy przez pola zielone,

Niesiemy nowinę, że żniwa skończone.

Żniwaśmy skończyli, wszyscy to widzieli,

Wieniec my uwili od tamtej niedzieli.

Wieniec, nasz wianeczek z kłosów dożynkowy,

Co roku ładniejszy, a w tym roku nowy.

Przypatrzcie się ludzie spod lasu do końca,

Bo ten nasz wianeczek jak promyczek słońca.

Obie panny Agnieszki zbliżały się z wplecionymi z żyta i pszenicy wieńcami na głowie. Nie zauważyły dwóch parobków czyhających na nie z kubłami wody. W jednej chwili woda lała się z nich strugami.

- Musimy złożyć wieńce i pęczki. Jeśli będą przemoczone, pożałujecie – odgrażała się panna Turowska-Bąkiewna.

Wśród zgromadzonej gawiedzi dał się usłyszeć gromki śmiech. Wszyscy z zapartym tchem czekali teraz na wyzwoliny. Doświadczeni kosiarze przyjęli do swego grona młodzieńców, którzy po raz pierwszy kosili zboże. Fryderyk przypomniał sobie widok długiego kosiska, na którym powiewała niczym chorągiew czerwona chusta. Młodych żniwiarzy w koronie ze słomy przyprawiono do dworku. Przyczepiono im długi, sięgający od głowy do nóg, słomiany ogon. Kosiarze głośno dzwonili uderzeniami o kosy. W tym samym momencie dała się słyszeć muzyka dobiegająca z dziedzińca. To Fryc zaczął grać dobrzyńskiego na skrzypcach. Pod rozgwieżdżonym niebem rozpoczęła się biesiada.

- Zatańczy panna ze mną walca? – zapytał Fryderyk.

- Nie wiem, czy potrafię... - odpowiedziała onieśmielona panna Tekla Borzewska.

- Niech się panna nie przejmuje. Zaraz się panna wszystkiego nauczy! – rzekł Chopin.

Oboje dali się ponieść dostojnej muzyce. Tekla, nabrawszy pewności siebie, podarowała Fryckowi jeszcze dwa tańce. Dużo przy tym rozmawiali, prowokując spekulacje jakoby młodzi byli narzeczeństwem. Wszyscy bawili się w nagrodę za ciężką pracę w polu.

Melodia obertasa tak wpłynęła na Chopina, że zaczął tańczyć z panią Dziewanowską. Około godziny dwudziestej trzeciej Frycowa przyniosła starą basetlę. Dała ją Fryderykowi, a on zakurzonym smykem wydudlił melodię, podtrzymując taneczny rytm. Świętujący zlecieli się, by usłyszeć z bliska harmonijną melodię. Nagle panna Ludwika zawołała:

- Raus!

Fryderyk z żalem, ale bez słowa sprzeciwu, pożegnał się i poszedł spać. Zasypiając, chłonał wiejską kulturę całym sobą. Następnego dnia obudził się w znakomitym humorze. Posłusznie

zjadł na śniadanie specjalnie dla niego upieczone bułeczki. Wypił kawę żołądziową i zaczął pisać list do rodziców. Wpadł wtedy na pomysł, aby narysować pannę Mariannę Kuropatwiankę, która stoczyła wczoraj bójkę na grabie z panią Kaszubiną. Zabrał się więc za sztych.

- A dyć to dycht a dycht Kuropatwionka! - wykrzyknął Jaś, napawając Fryderyka dumą z wykonanego dzieła.

Chopin zamyślił się. Rzędy sztyg, stogi zboża, zwózka plonów drabiniastym wozem, dźwięk kos, okrężne, ludowa muzyka wypełniały jego wyobraźnię, grały niesynchronicznie, szukając gamy i interwału. Myśl goniła myśl, a on w tej gonitwie dźwięków i melodii, niczym wirtuoz szukał dla nich właściwego miejsca na swojej pięciolinii. Panna Ludwika zaczęła grać na fortepianie. Fryderyk uśmiechnął się. Usiadł obok niej, uderzył z siłą, a jednocześnie z namaszczeniem klawisze instrumentu. Zamknął oczy i odtworzył zasłyszane melodie.